

Zmartwychwstanie  
z pośmiertnych  
papierów. Jan  
Darowski  
(1926-2008).



## Henryk Waniek

Resurrectio chartarius posthumus

czyli

zmartwychwstanie z pośmiertnych papierów

Mam ja chyba z poezją jakieś nienormalne stosunki. A z poetami - pomijając wyjątki - w ogóle się nie zadaję. A tymczasem -

proszę, książka, prawie czterysta bitych stron druku, które czytam jedna za drugą, mimo że tytuł na okładce, jak na moje wyczucie, dość szkaradny - *Poezje*. Autor - Jan Darowski. Wydane w Rzeszowie (2015). Już przekroczyłem połowę!

Na stronie 299, w rozdziale zatytułowanym *Okruchy*, gdzie rzeczywiście są jakieś okruchy, ale też szkice, jednowersowe poematy, aforyzmy (niektóre trafią do dłuższych wierszy, inne do esejów), znajduję coś oto takiego: „zmartwychwstanie z pośmiertnych papierów”. Więc pewnie też „żywot wieczny, amen”. Ciekawe, co poeta miał na myśli? Czy jakaś to intuicja? Wyznanie wiary w papier? Proroctwo?

Książka przez którą się właśnie przeprawiam, to tom drugi z serii „Dzieła Jana Darowskiego”, wydawanej przez Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne FRAZA w Rzeszowie pod redakcją Jana Wolskiego. A nawet trzeci, jeśli uwzględnić wydane wcześniej *Trzeba się trzymać pięknych przyzwyczajień. Twórczość Jana Darowskiego. Studia i szkice*. (2012). Poza wstępem, apendyksami i indeksem, składają się na nią szkice 27 różnych autorów. Wszystkie - i te lepsze, i te gorsze - ciekawe. A szczególnie jeden, o którym powiem na końcu. We większości jednak akademickie - niestety.

Za tom piąty można by uznać *Archiwum domowe Jana Darowskiego*, ale on z kolei oznaczony jest jako trzeci. Więc już

się pogubiłem w tej numeracji. Może następne wniosą odrobinę jasności. Oby. Bo są tam – jak słyszę – jeszcze liczne „papiery pośmiertne” warte zmartwychwstania. Że warte, jestem pewny, choć ich nie znam. Na początku jednak, zanim odważyłem się na *Poezje*, zapoznałem się z tymi... *Studiami i szkicami*.

Zastanawiające, że w tej liczbie autorów tylko 3 osoby reprezentują Uniwersytet Śląski w Katowicach. Zwracam na to uwagę, bo Jan Darowski, podobnie jak Florian Śmieja, jego kompan z londyńskiej grupy literackiej *Kontynenty*, przez całe życie silnie podkreślali swą śląską tożsamość. Może dla Uniwersytetu Śląskiego żadna to zaleta? Może się mylę i powód dla którego spuścizna Darowskiego trafiła nie do tamtego, a do Zbiorów Specjalnych Uniwersytetu Rzeszowskiego, to splot nieznanych mi przypadków, jeśli ktoś wierzy w przypadki. Zresztą może on sam by sobie tak życzył? Bo kto wie czy w Rzeszowie szansa na z papierów rezurekcję nie jest większa niż w Katowicach?

Tego nie wiem, ale telefonuję do znajomych filologów z Uniwersytetu Śląskiego. Jeden, doktor habilitowany oraz profesor zwyczajny. Drugi tylko dr hab. Pytam jednego i drugiego czy znają twórczość, a choćby tylko słyszeli o Darowskim. Pierwszy zdecydowanie zaprzecza. Nazwisko nic mu nie mówi. A dlaczego pytam? Gdy wyjaśniam, że chodzi o powstanie z martwych, staje się jeszcze bardziej ciekawy. Drugi

natomiast odpowiada, że coś tam wie, choć słyszę wyraźnie, jak już w następnym zdaniu przekręca nazwisko na Darecki. Więc szkoda gadania. Przystaję telefonować, a w międzyczasie dowiaduję się jednak, że owszem, profesor Marian Kisiel zna. Więc może ktoś jeszcze?

Korci mnie by kontynuować ten test wśród mniej znanych mi tamtejszych luminarzy. Bo mało kto jak Darowski, Raciborzanin z pochodzenia, zasługuje przecież na miejsce w kulturowej pamięci regionu. Takich osobowości raczej się tam nie liczy na kopy. Ale co tu testować, skoro nie ma o nim wzmianki nawet w pracy prof. Zbigniewa Kadłubka i Łucji Stanickowej - *99 ksiązek czyli mały kanon górnośląski* (2011). Nie ma tam zresztą również Floriana Śmieji. A czy jest Piotr Guzy?

Więc taki to kanon. A bezwzględnie powinni tam być. Szczególnie Darowski, bo to pióro nie byle jakie i umysł, choć dopiero z papierów zmartwychwstający. To mnie zresztą za bardzo nie dziwi, jako że przyszło mu być emigrantem. Żył niemal na innej planecie, patrząc na Polskę z bezpiecznego dystansu. Co więcej, nie rozpychał się Darowski na jarmarku literackiej próżności. Emigranckim, oczywiście. Przyglądał mu się z rezerwą, a kto wie czy nie nawet z niesmakiem. Tam, w Albionie. Ale czy na polskim byłoby inaczej? Do jarmarku nie pasował, kwalifikował się raczej do Hyde-Parku. Poza tym, gdzie mu tam do uniwersytetów! Jego doktoratem było samo życie.

Lektury. Myślenie. Trzeźwy ogląd rzeczy. Nie czułby się pewnie dotknięty, gdybym tu napisał - samouk. Bo trudno o większy komplement. Kto się bowiem sam nie uczy, nie uczy się wcale, tylko jest nauczany. Toteż samouków mam w wielkim poważaniu.

Nadto, był Darowski człowiekiem - jak się to mówi - z charakterem. Nie praktykował kompromisów. Żadnych ustępstw na rzecz wydumanych „wyższych racji”, choćby korzystnych. Co gorsza, z usposobienia weredyk, co nie czyni życia lżejszym. Świat rozkochany w iluzjach i baśniach nie zdradza wielkiego popytu na prawdę. Powiedzmy zatem, że myślowo kierował się raczej ku prawdzie niż jej eleganckim przeinaczeniom. I tak ostatecznie wypadł mu - a raczej pośmiertnym papierom - ten Rzeszów, gdzie z nimi obchodzą się czule, podczas gdy na Śląsku ledwie o nim wiedzą. Albo nic zgoła.

Oczywiście, czytelnikom TWÓRCZOŚCI, ani jej redaktorom, wyjaśniać wręcz nie wypada kim był Jan Darowski. Gościł na jej stronach kilkakroć jako autor, a też jako temat. A już na pewno nie Rajmundowi Kalickiemu, który w połowie lat 90. ze zmiennym szczęściem usiłował znaleźć dla niego godziwe miejsce w miesięczniku. Szczególnie dla jego esejów. O trudnościach z tym związanych jest mowa w listach jakie doń napisał Darowski, teraz opublikowanych (TWÓRCZOŚĆ, Nr.6, 2015). Rozumiem i podzielam tę słabość Kalickiego do jego pisarstwa, choćby dlatego, że jest w Darowskim coś, czego nie

ma u innych. Co zdarza się nielicznym. Odwaga sądenia, mianowicie. Osobista i - na ile to tylko możliwe - obiektywna. Samotna.

Kolektywne *unisono*, to nie było dla niego. Nie basował w chórach. Jako solista żył z boku, chyba świadomy, że go słucha niewielu rodaków. A jeszcze mniej słyszy. Bo też światek brytyjski, w którym się wygodnie zakotwiczył, to była garstka zaledwie, na ogół z takim IQ, jakie dopuszcza regulamin wojskowy, lub przedwojenna polska matura. A on? Nawet nie porucznik. Do tego niemieckie, średnie wykształcenie techniczne. No i wreszcie inteligencja osobista, zaledwie wrodzona. Więc na jakich koturnach miał się tam poruszać? Czym mógłby się pysznić on - człowiek zwyczajny, otwarty na oścież, dociekliwy, chętny, lubiący być użytecznym. A też i zamknięty na rzeczy zalatujące fałszem - choćby niewinnym.

Przez jakiś czas nosił się z zamiarem pisania wyłącznie po angielsku. I choć nic z tego nie wyszło, dość obszernie naświetlił ten zamiar, przy okazji wytykając językowi polskiemu defekty. Swą krytykę wzmocnił doświadczeniem drukarza i poliglotty. Tezę, że „język polski może być zapóźnionym językiem kultury zasadniczo rolniczej i literatów kultury rolniczej...”, na którą z pazurami rzucił się Józef Łobodowski, omówił i tak szczegółowo mu wyjaśnił, że uszczypliwość Darowskiego względem polszczyzny jest całkiem uzasadniona. Dodać należy, że nie tylko

polski i angielski, lecz także niemiecki i rosyjski znał biegle. Więc nie tylko o to chodziło, że w języku polskim było mu niewygodnie. Bardziej chyba o to, że po angielsku byłby liczniej czytany i słuchany. I może nie musiałby teraz z papierów zmartwychwstawać? Co bardziej zaciemnione umysły w jego otoczeniu, doszukiwały się w tej deklaracji znamion zdrady. Renegacji bodaj. Kto by tam pamiętał o Josephie Conradzie czy choćby Jerzym Pietrkiewiczu?

Ten zamiar wszelako jawi się dwuznacznie w świetle wyznania, jakie w 2001 roku uczynił w rozmowie z Beatą Tarnowską:

Niestety, pierwszy wiersz napisałem po angielsku i pisałem po angielsku przez następne 5 lat [od 1949 roku]. Pisałem po angielsku i obracałem się w środowisku podobnie usposobionych młodzieńców, Anglików w Londynie... Ale uświadomiłem sobie, że urodziłem się na Anglię o 22 lata za późno. I wróciłem do korzeni języka polskiego. Bardzo kiepsko z tym było i naprawdę zostałem wprowadzony w język polski po raz drugi w życiu.

Lecz w zasobach rzeszowskiego archiwum nie ma (jeśli się nie mylę) żadnych utworów Darowskiego po angielsku. Wiedział on przecież, że pewne rzeczy trudno ująć w innym języku niż polski, bo by się w nim najzwyczajniej nie zmieściły. Choćby w



angielskim. Więc droczył się z tą polszczyzną, raczej prowokując niż grożąc. Wydobywał jej słabostki przekonany, że tylko w ten sposób można ją wzmocnić. Uchronić przed zagładą. Przed schorzeniami, które właśnie się dzieją. Czy nie z naszym udziałem? W istocie, bardzo ten język polski celebrował, włącznie ze zdarzającymi mu się nieznacznymi dziwactwami. Na przykład:

nie ma dla nas innego dostępu do jej treści prócz przez jej obraz graficzny.

Dość notorycznie u Darowskiego płacze się to „prócz”. Ale żaden to grzech. Wszystko jest zrozumiałe.

Pozostał więc pisarzem polskim. Poetą. Znany był również z nadzwyczaj udanych przekładów. Miłosz czy Herbert widzieli w nim najsolidniejszego tłumacza. Lecz dla niego translatorstwo było marginesem. Jak i cała ta poezja. Przeto oryginalnej twórczości Darowskiego nie da się ująć prosto. Bo jest ona prymarnie spłaszczona przez fakt, że w biogramach i bibliografiach Darowski notorycznie występuje jako „poeta”. O tyle to zgodne z prawdą, że istotnie, pisywał i wydał nawet dwa zbiory wierszy. Podobnie jak prawdą jest, że „tłumacz”, skoro z powodzeniem przekładał na angielski Różewicza, Białoszewskiego, Szymborską i innych. Także „w drugą stronę”,

tłumaczył na polski Davida Herberta Lawrence'a czy Williama Butlera Yeatsa.



Ale ja bym go nazywał „pisarzem”. Nie tylko dlatego, że uprawiał też prozę, jakkolwiek jego *Unsere* trudno nazwać powieścią. To poruszające osobiste świadectwo. Bardzo osobiste. Raczej autobiografia. Ale w końcu i ta opowieść traci równość narracji, skręca w dygresje, przemienia się w istny „traktat o wszystkim”. Darowskiemu nie przeszkadzało, że „wszystko” jest niemożliwe. A co szkodzi, próbować? Zatem ostatecznie góruje w nim eseista, którego erudycyjne gadulstwo nie zawraca sobie głowy formą i konwencjami. Podobnie zresztą, jak sarka na naukową pychę, tak

często myloną z mądrością.

Więc zamiast wydzwaniać do Uniwersytetu Śląskiego i wypytywać, sam zabieram się do pisania. Ale najpierw do przeczytania, bo jak na mizerne moje możliwości, to jednak sukces bez mała. Czytam, czytam jeden wiersz za drugim. Przy niektórych dopada mnie drzemka. Przy innych nie gubię sedno. Czytam te *Poezje* jako kompletny bilans dorobku wierszopisa. A więc wydany w 1969 roku w Londynie zbiór *Drzewo sprzeczki* oraz - również w Londynie - *Niespodziewane żywoty* (1990). I wreszcie pośmiertnie *Wiersze różne*, a nade wszystko - także pośmiertnie - *Okruchy*. Te ostatnie są trochę bulwersujące; jedno, dwu, rzadziej trzywierszowe notatki, niektóre w kilku wariantach. Czasem wydają się być incipitami pomysłów, którym się już nie chce dorastać. Poeta wydaje się być znużony tym rzucaniem grochu o ścianę.

„Wiersze jak wiersze, sprawnie napisane, ale nie o poezję w nich chodzi” mówi ktoś, również nieobojętny na Darowskiego. Tu i ówdzie zarys jakiegoś obrazu, myśli, słów, które w pełni rozwijać się będą i dojrzewać dopiero w esejach. Słuszna, oj słuszna jest uwaga Jana Wolskiego:

Jeszcze do niedawna, jeżeli kojarzono go, to właśnie z poezją, a bywało, że niemal wyłącznie z nią. Ale to chyba eseistyka

zajmuje w całym dziele miejsce bardziej eksponowane, a raczej może je zająć.

A gdy czytam ich - Darowskiego i Kalickiego - rozmowę, którą sobie ucieli w Londynie na początku roku 1994, wyobrażam sobie niezwykłość, której się dosłuchał gość w jego słowach. Między innymi, to spojrzenie ze zdrowym dystansem na polski - krajowy i emigracyjny - stan rzeczy.

A to dlatego, że poza wszystkim, co tu napisałem, w osobowości Darowskiego jednak przeważał Polak. Mieszkający w Anglii, zgoda, i tam mający już własne, zapięte na ostatni guzik życie. Ale czy nie dlatego właśnie? Czy aby Polakowi nie jest potrzebny status emigranta, by się gruntowniej określiły jego horyzonty. Emigracja zewnętrzna, czy wewnętrzna - obojętne. Bo kontury Polski, Polaków i polskości widać z oddalenia wyraźniej niż to może się zdarzyć gdzieś w Warszawie, Lublinie czy Poznaniu. Niż to bywa w ślepych oddaniu się Polakom, Polsce i polskości. I w tym sensie Darowski dość *explicite* powtarza, że jednak polskość zobowiązuje. Do czego? To pytanie zostawiam na później, bo na razie chcę wydobyć tę jego szczególną właściwość widzenia, którą określeń jako imperatyw przyzwoitości.

Gdyby to przeczytał, pewnie by się zżymał. Że się go tutaj próbuje uczynić arbitrem jakiejś etycznej poprawności.

Poprawnej narodowości. Czy w ogóle jakiegokolwiek poprawy. Tymczasem, ani w swoich wierszach, ani nawet pomiędzy nimi, nie dawał do zrozumienia, że go to w ogóle obchodzi. A raczej, że o ludzkiej przyzwoitości wie więcej, niż ktokolwiek, choć byłby z nią nawet na bakier. Nie stroił się w kitel terapeuty społecznego, ani naprawiacza ludzkich (polskich) defektów. Był trzeźwym historiozofem, który obserwował i uczestniczył w sprawach godnych wstydu, choć też i dumy. Bo żeby postrzegać pełnię polskości, trzeba być trochę również nie-Polakiem. Obraz tej pełni Darowski posiadał bytując w świecie rodaków-emigrantów, gdzie jej wszystkie odcienie występowały szczególnie ostro.

Po pierwotnym urzeczaniu Giedroycia jego bezceremonialnym językiem, stał się rychło niewygodny dla paryskiej KULTURY w grach tam praktykowanych. Z kolei w ospałym środowisku brytyjskim nie znajdował partnerów. Pisał więcej niż publikował. Ta rosnąca ilość papierów, które prędzej czy później staną się „pośmiertne”, to w dużej mierze rachunek jego publicznego milczenia. Chyba postępującego. W jakimś spóźnionym porywie, wobec spustoszeń wieku i postępującej choroby, dał się nakłonić. Dał się raz jeszcze pchnąć w stronę papieru i pióra, a właściwie komputera. I to w czasie – tak sobie wyobrażam – gdy już nabierał świadomości, że twórczość pisarska, a głównie poetycka, zawodzi w komunikowaniu się z innym. Sporadycznie publikował to tu, to tam, ale wybór był właściwie niewielki. Po roku 1989 niektóre jego teksty trafiły na łamy krajowe. Mało. Nic

zatem dziwnego, że ostatecznie ciekawość poniosła go na ogólne sprawy ducha i ontologii, a szczególnie tej *paleo*, co nie znaczy wcale, że oślepił na rzeczywistość bieżącą. Tyle, że współczesność widziana z dystansu, podobnie jak ojczyzna czy naród, także jawi się ostrzej.

Gdy już jedna choroba za drugą utrudniała mu większą aktywność, jeszcze raz uruchomił potencjał swojego języka. Mogłoby tylko być nieco mniej wierszy. To znaczy - poezji. Tyle, że w pewnej jej części dostrzega się jednak jakby suchą zaprawę do esejów, w których tam ledwo muśnięte idee, symbole czy sprawy, nabiorą sensu i rozmachu. Przypomina mi się sąd Henryka Berezy, który na pewną ilość głupstw powiedział także pewną ilość rzeczy mądrych. Za jedną z nich uważam to zdanie, niejednego mogące wpędzić w konfuzję: „przeznaczeniem poezji jest proza”. Wielu (większość!) poetów rzeczywistych oraz poetów tak zwanych, rozmija się - jaka szkoda! - z tym przeznaczeniem, dożywotnio pisząc duby smalone, lub - co wielokrotnie Darowskiego to śmieszyło, to oburzało - rozpisując się na temat własnej niemożności pisania. Od tej i innych bolączek ratować może poezję jej - zdaniem Berezy - przeznaczenie, czyli proza. W prozie nie ma taryfy ulgowej; ucieczki w znaczące (oby tylko!) niedomówienia, niedoróbki i całą tę estetykę, sprawiającą, że ostatecznie biel strony tylko nieznacznie pokryta jest drukiem. Naturalnie proza prozie - podobnie jak poezja poezji - nierówna, i by się nie posuwać za

daleko, wystarczy powiedzieć, że na jej płaszczyźnie egzamin jest bardziej surowy, mniej wyrozumiały dla poetyckiego farniente.

Skoro już się tutaj - *deus ex machina* - pojawił Bereza, narzuca się automatycznie pytanie - znał on aby pisma Darowskiego? Teoretycznie biorąc, znać powinien. Przynajmniej to, co ukazało się w TWÓRCZOŚCI za jego życia. Gdy żył, pewnie bym go o to nawet nie spytał, bo moje stosunki z Berezą właściwie były żadne. Ukłony na odległość, gdy przesiadywał w najbardziej cienistym kącie redakcji. Spoglądał stamtąd nieufnie, rojąc sobie może, że jestem dawnym mentorem Jerzego Illga, którego słowa go niegdyś dotkliwie zraniły, czemu zresztą zaprzeczał. Może domyślał się, lub ktoś niedelikatny mu powtórzył, że większość jego ONIRIADY odczytuję jako oniryczną mistyfikację. Grę towarzyską. Nie wiem. Wystarczał mi ten na odległość szacunek jakim go darzyłem i szczypta nieufności. Ale w sprawie Darowskiego, jak teraz myślę, sąd Berezy miałby wielkie znaczenie. Tyle, że proza Darowskiego chyba nie jest z gatunku, który Bereza mógł mieć na myśli. Czy w ogóle proza?

Raczej odpychanie poezji.

Młodzieniec, myślący u nas o literackiej karierze, stara się najpierw zadebiutować tomikiem wierszy, zacząć jako 'poeta'. To zawsze robi dobre wrażenie, a poza tym wie, że



poezja jest »sprawą młodości«, fazą, z której się i tak wyrośnie.

Te słowa znajdziemy w eseju *Nieobecność i Kara* [*Eseje* s.25] napisanym w roku 1961, zanim ukazał się jego debiutancki zbiór wierszy, gdy Darowski (35 lat) mógł jeszcze od biedy myśleć o sobie „młodzieniec”.

Ale trochę dalej, w tym samym eseju:

„Cokolwiek mógłbym rzec o poezji” – pisał Julian Przyboś – „mogę potem odwrócić i jeszcze mieć rację, chociaż w innym układzie odczuwania poetyckiego”. Istotnie, każda wypowiedź o niej jest jakby globalna, a odwrócona też zasadniczo jest słuszna, bo pokazuje nam tylko inną hemisferę tej samej estetycznej całości. Nie tak jak w prozie, która ma się do słowa poetyckiego jak arytmetyka do geometrii, jak analiza do syntezy. Proza, w jej zasadniczej formie, nie jest strefą międzysłowa, niespłacalnych hipotek ontologicznych, wewnętrznych kryteriów [*Eseje* s.26].





Fot. Stuart Heath

Ten „falujący” i otwarty na przejściowe kryzysy stosunek Darowskiego do poezji i do siebie jako poety, przejawiał się przerwami w jego twórczości. A nawet – jeśli wierzyć słowom jego rozmówcy – prowadził go do deklaracji radykalnego jej zaprzestania. Ale deklaracje to jedno, a przymus wewnętrzny, to coś całkiem innego. W jednym z epizodów szpitalnych, ku jego własnemu zdumieniu, wylało się z Darowskiego kilkadziesiąt wierszy. W zbiorze *Niespodziewane żywoty* są one datowane, więc widać, że tutaj poetyckim katalizatorem był stan wojenny w Polsce. Pamiętam z tego czasu, że w krajowym świecie

podziemnych wydawnictw również nastąpił gwałtowny wylew twórczości poetyckiej. Głównie grafomańskiej. Bo tak to się wtedy wyrażał pobudzony patriotyzm, zraniona duma i narodowe urazy.

„Wiersze, jak wiersze, sprawnie napisane...” powtórzę raz jeszcze, ale więcej emocji i mentalnej korzyści znalazłem w eseju *O grafomanii i literaturze*, gdzie Darowski, zresztą bardzo dobrotliwie, wbija szpikulec adeptom jednego i drugiego. Zatem – furda poezja! To przecież tylko zabawa z językiem, którego celem ostatecznym jest proza. Myśl dorzeczna. O tylu ludziach większego i mniejszego formatu słyszałem (czytałem, lub sam pomyślałem): „mędrzec!”, że powtarzanie tego o Janie Darowskim tylko by mu przynosiło ujmę. Takiemu wprost wypada od czasu do czasu parać się mową wiążaną. Ale miarą jego rozmiaru nie te są interwały.

Więc poeta czy nie, przede wszystkim jednak człowiek (tu by się przydała wielka litera) języka polskiego, lekko zmaczonego prowincjonalizmami, choć nie bardziej niż u Gombrowicza. Polak także, podobnie jak Gombrowicz, twórczo zwaśniony ze swoją polskością, ale z właściwie ustawioną poprzeczką. Krzywo patrzący na domniemaną wielkość swojej tożsamości. I z powodu tego domniemania nie całkiem szczęśliwy. „Szczęśliwe niewielkie narody” napisze w ostatniej linijce wiersza *Z kazań na niejasnej górze*. (*Poezje*, str.176), chyba wiedząc i widząc, jak pod

brzemieniem swojej wyobrażonej wielkości jego ojczyzna ledwo się trzyma na nogach. Ale co jeszcze poza językiem jest jego ojczyzną?

Coś takiego w tomie *Poezje* na stronie 157 czytam:

Najlepsi – pod wozem

na wozie – nawóz

jak zawsze

Nie wiem jakim cudem

jeszcze Polska nie zginęła...

którą oświeca przez trujące mgły

raz pięść krwawa

raz posmarowana łapa. (1982).

Jasno powiedziane. Jakim cudem, tego też nie wiem, ale – podobnie jak Darowski – temu, że cuda istnieją, zaprzeczyć nie mogę. Wiersz, jak wiersz.

Obiecałem, więc powracam do tego „że jednak polskość zobowiązuje.” Do czego? Jasnej odpowiedzi na to pytanie daremnie szukać u Darowskiego. Rozsiane w jego tekstach tu i tam, impresyjne spostrzeżenia odnośnie tej sprawy, to raczej uwagi poirytowanego racjonalisty, który z irracjonalnym układać się nie chce. Nieco światła na to Darowskiego przewrażliwienie rzuca pewien spór z Czesławem Miłoszem, który niegdyś z entuzjazmem rekomendował Darowskiego Giedroyciowi. Miłosz na łamach KULTURY, skomentował tekst z roku 1973, opublikowany w londyńskich WIADOMOŚCIACH.

Artykuły jego [Darowskiego] są napaścią na dzieje całej Słowiańszczyzny i dzieje Polski i to od strony języka... Kto jest ciekaw riposty Darowskiego, kładącego noblistę na łopatkę, ten ją znajdzie w *Esejach* od strony 159, ale tutaj chodzi o coś jeszcze innego; mianowicie o odpowiedź na pytanie, którą sami musimy złożyć z rozproszonych napomknień. „Dlaczego nie jesteśmy, kim być powinniśmy?” zapytuje Darowski w zakończeniu swych utarczek z Wielkim Poetą. I jeszcze: „...Kim chciałbym, żebyśmy się stali? A bo ja wiem? Wiem z grubsza, kim nie jesteśmy, a to już wydaje się być coś dużo za dużo na nerwy pewnych panów. Ale kim możemy się stać, tego może wolałbym nie wiedzieć, bo [...] gdyby z nas ktokolwiek wiedział, to pewnie nie byłoby dla nas żadnej przyszłości wartej większego zachodu”.

Stać się. Wsublimować z siebie najlepsze. Przemieniać niskie w szlachetne. Czysta alchemia. Można pomyśleć, że Darowski naczytał się Junga. W jego księgozbiorze jest istotnie stare wydanie *Psychology and Religion* (1938), a nawet *The Tibetan Book of the Dead z Komentarzem psychologicznym C.G.Junga*, ale nic więcej. Poza tym Polakowi, skoro ma Jasną Górę i Ostrą Bramę, wręcz nie wypada parać się alchemią duchową i grzebać w mrokach kolektywnej nieświadomości. Niech sobie nurkuje w polszczyznę i w ten sposób doświadcza indywiduacji. I to jest właśnie sedno całego cudu. Bo Polska jest cała z języka, a czasem nawet wydawać się może, że wyłącznie z niego. Wobec chwiejnych miar i wszechobecnej niechęci; wobec gorzkiego rachunku, który zamykają „pośmiertne papiery Darowskiego”, takie jest więc polskości zobowiązanie, by jej nie powierzać niepewnym instancjom, tylko najlepszemu z możliwych wzorów człowieczeństwa, wzięty z rejonów ponad, czy pozanarodowych. I równać ją – tę polskość – do niego raczej, niż wyświechtanych półprawd i iluzji.

Nie byłoby zasadne, by z tekstów Darowskiego wydobywać przede wszystkim to, w czym odzywa się jego troska o kraj, naród i język. To się oczywiście tam czuje, ale w zmiennym natężeniu, a z biegiem lat jego uwagę przykuwają atrakcje bardziej konkretne. Geologia, paleologia, prehistoria i krytyczna historiozofia w ogóle. A w tym naturalnie częste dawki psychologii, tej trafnej i tej błędnej. Gdy tak wyliczam dziedziny,

w które Darowski zaglądał, naprowadza mnie to na domysł, że może podobnie jak wiersze czy proza, nie mogące znaleźć wygodnego miejsca poza językiem polskim, tak i Polacy, Polska, polskość są tylko westybulem; pretekstem zaledwie by wejść (wyjść?) dalej, poza te wąskie kategorie, tylko pogłębiające nasz deficyt wolności. Wyjść ku humanistycznemu conceptowi człowieka „w ogóle”. Że tak się stało z myślą Darowskiego, poza dużą ilością poszlak, mam tylko jeden dowód. A i ten niepewny, bo znany mi z drugiej ręki niejako, pośmiertny jak najbardziej, ale nieopublikowany esej *Chemia wolności*. Co zawiera, wiem z grubsza dzięki Magdalenie Boczkowskiej (Uniwersytet Śląski), która się tym zajmuje w rozprawie *Wokół eseju Kain i Abel. Kilka uwag*, opublikowanej we wspomnianych *Studiach i szkicach*.... Bo taki ostatecznie dał mu tytuł Darowski. Autorka przestudiowała maszynopis eseju, składającego się z czterech rozdziałów. Streszcza i hojnie cytuje, podsycając tylko czytelniczną ciekawość. Mam nadzieję, że kiedyś ten esej poznamy w całości. Lecz na razie mogę się tylko zachwycać tym, co mi się - chyba bezprawnie - roi. A równocześnie miętoszę w sobie pytanie, czy przed Jungiem, a może po nim, sięgnął Darowski po Hermanna Hesse. Nie po *Siddhartę*, *Wilka stepowego* czy *Das Glasperlenspiel*. Mam tu na myśli *Demiana*, gdzie ważnym symbolem gatunku ludzkiego jest kainowe piętno. I taki też jest punkt wyjściowy pierwszego rozdziału eseju, który ma tytuł *Homo habilis*. Kain dopuszcza się zbrodni, najpierwszej w biblijnej historii człowieka. Kulturozoficzne, miejscami wręcz

teologiczne komentarze Darowskiego rozciągają się na rozdziały: *Homo faber*, *Homo vastans*, i ostatni *Homo actor*.

Nie będę tu streszczał streszczenia, choć dla Boczkowskiej tok rozważań autora wydaje się na tyle przejrzysty, że sama jest gotowa dodać mu jeszcze jeden rozdział. Piąty. Dałaby mu tytuł *Homo solitarius* i składa się wyłącznie z wziętych skądinąd słów Darowskiego, który objawia się tu jako człowiek z początku nowej epoki. Epokę tę nazywa modnie – postchrześcijańską. I tak z jednej strony z Janem Darowskim, a z drugiej Zygmuntem Baumanem, pięknie konkluduje swoją rozprawę:

Po pierwsze, bardziej niż kiedykolwiek jesteśmy dziś *homo solitarius*. Samotni w swych wyborach. Samotni w swych porażkach i zwycięstwach. W codziennych walkach. Sami wśród tłumu podobnie samych. Samotni w globalnej wiosce. Po drugie, jesteśmy dziećmi Kaina, dlatego – jak pisze Darowski – »nasze *contemptus mundi* jest pełne niewymownej rozpaczy«. Nikt jednak nigdy już nam nie udowodni, że będąc dziećmi Abla, żyłoby nam się lepiej.

Cóż więcej można powiedzieć niż ten, ni to dezyderat, ni modlitwę: Papiery pośmiertne! Zmartwychwstajcie!